

Jakub Małecki

Zaksięgowani



Egzemplarz promocyjny
nie do sprzedaży



powergraph

Copyright © 2009 by Jakub Matecki
Copyright © 2009 by Powergraph
Copyright © 2009 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Internet: www.amazonka.pl

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-14-1

Printed in Poland, EU

ZA GODZINĘ POWINNA TU BYĆ

Na inne nie licz Niebo, ani na inne Piekło.

Jorge Luis Borges, *Chwila*

tak już zostanie

Przemek już od dawna nie pachniał pięknie, ale teraz unosiło się nad nim coś kwaśnego. Boże, przyszło mi na myśl, że on już całkiem o siebie nie dba i na niczym mu nie zależy.

— No, synek, hop — wystękałem, biorąc go pod pachy i czując, jak odzywa się Pan Kręgosłup.

Tak mówiła zawsze Paulinka. Chyba nazywała go w ten sposób, żeby ośmieszyć mój ból, zlekceważyć go, wtedy chyba łatwiej. Bolało przecież coraz bardziej, promieniowało na nogę; często wstawałem w nocy i chodziłem po mieszkaniu. Kładłem się w stołowym na podłodze i opierałem stopy o meble, powodowało to chwilową ulgę. Paulinka wiedziała, słu-

chała tych moich nocnych wycieczek po mieszkaniu, i żeby mi trochę pomóc, nazywała go Panem Kręgosłupem.

Ubikacja była tak wąska, że wózek nie dojeżdżał do sedesu, klinując się przy białej nodze umywalki. Poszerzyć się nie da, zawyrokował niegdyś hydraulik o tłustych włosach, taki typowy, z papierosem wystającym z kącika ust i zielonymi ogrodniczkami, tu masz pan nośne, kuć nie można. Tak już zostanie.

„Tak już zostanie”.

— No. — Spróbowałem się uśmiechnąć, zsuwając Przemkowi spodnie i majtki. Majtki, które zawsze kupowała mu Paulinka, mimo że miał już dwadzieścia trzy lata. Przesłonięty kępą czarnych włosów członek wyglądał, jakby właśnie ktoś wyjął go z talerza flaków i wsadził mu w majtki. Poczulem, że zaraz zwymiotuję. Na obiad jedliśmy dzisiaj flaczki.

Wyszedłem szybko i zapaliłem w kuchni. Dym wciągałem głęboko, długo zatrzymywałem w płucach. Włączyłem radio i usiadłem, spoglądając na zdjęcie, stojące na zakurzonej półeczce. To był sylwester, rok temu. Pamiętam, że Pan Kręgosłup dawał mi wtedy popalić, oj tak, nawet tańczyć mi się nie chciało, a pić nie mogłem przez leki. Wyciągnęli mnie na parkiet po dwunastej i jakoś szło. Zdjęcie robił szwagier.

Paulinka teatralnie przegięła się w tańcu do tyłu, złotawy szal spływał jej z piegowatych ramion, suknia błyszczała. Fryzurę miała taką jak zwykle, pasemka, tyle że usztywnioną, i brokat na tym wszystkim. Ładnie wyglądała.

— Już.

Jedno słowo, bardziej wystękanе niż wypowiedziane. Zgasilem papierosa na talerzu po flakach i ruszyłem przez przedpokój.

Trudno jest tak starać się nie patrzeć na syna. Udawałem, że spoglądam w podłogę, wzrok przesuwiał się po ścianach, wbijał w punkt na umywalce, a przecież wiedział; wiedział, że to wszystko sztuczne.

Miał rzadki zarost, więc wyglądał teraz dziwnie – ta broda przypominała siano albo długie szpilki do akupunktury, które wbijają człowiekowi w ciało. Ale wiedziałem, że nawet taka akupunktura wbita w brodę mojego syna nie przywróciłaby mu zdrowia.

Miał włosy „na słoneczko”, tak mówiła Paulinka. Bo mu sterczały na wszystkie strony po prostu, dlatego obcinał się zawsze na krótko. Znaczy, ja go obcinałem.

Pomiażdżone wargi, wybity ząb i wielki siniec na policzku.

Ręce na temblakach oparł na kolanach, które wyglądały, jakby przedzielały nogi na dwie części: u góry śnieżnobiałe uda, z włoskami wytartymi jeszcze przez džinsy, u dołu sine piszczele i łydki. Bili go po tych łydkach kijami, tak mówił. Kijami bejsbolowymi.

Nachyliłem się nad nim, uniosłem znowu, a Przemek pomagał, chwytając się umywalki. Zacisnął na niej palce, ale zsunęły mu się po wilgotnej krawędzi, nawet pomóc mi nie mógł. Pan Kręgosłup wiercił w plecach. Darł się tam, krzyczał, zawadzał o wszystko to, co boli w człowieku najbardziej, tak przynajmniej czułem. Jakby robił to cholernik specjalnie.

Złapałem Przemka tak, jakbym chciał mu spuścić lanie, oparłem o kolano, sam przylgnąłem biodrem do umywalki. Sięgnąłem po papier, urwałem kawałek i złożyłem na dwoje. Kiedy zacząłem go podcierać, Przemek się rozplakał. To potworne, słuchać tak, jak syn płacze, jak dwudziestotrzyletni chłopak chlipie, kiedy wycierasz mu tyłek.

* * *

Położyłem Przemusia w łóżku, pod plecy wsadziłem grubą poduszkę, trochę już wytartą, taką z kory, Paulinka kupowała te pościelenie u nas na dworcu, tam ponoć najlepsze były i najtańsze.

Obok ułożyłem pilota, tego z oderwaną klapką, przez co baterie często wypadały. Leżał obok Przemka, gotowy, by

ktoś go chwycił i pstrykał do woli, przełączając kolejne stacje. Leżał tak wzdłuż ciała Przemka, choć wiadomo, że z dwoma złamanymi rękami raczej po kanałach nie poskaczysz. Wiedziałem jednak, że on czuje się lepiej, kiedy tego pilota ma obok. To tak, jakby za chwilę mógł go chwycić w rękę, jakby mógł przerzucić parę stacji, zatrzymać się na tych jego ulubionych teledyskach, popatrzeć na wygięte dziewczyny, i jakby mógł zaraz wyskoczyć z łóżka, ubrać się i pójść na miasto. Tak czułem, wydawało mi się, że tego właśnie chce, żeby ten pilot koło niego leżał. Mimo wszystko. Bo przecież Przemus wie doskonale, że nigdy już nie wyskoczy z łóżka i nigdy „nie pójdzie na miasto”. Na miasto to on najwyżej będzie mógł pojechać, pod warunkiem, że zniosę mu na dół wózek, a później jego samego. Z trzeciego piętra przecież sam nie zjedzie.

Paulinka

Paulinka umarła dwa tygodnie temu i od tej pory biorę te pastylki. Jest mi łatwiej, dużo łatwiej, bo przecież nigdy sobie nie wyobrażałem, jak mógłbym żyć bez Paulinki, to przecież niemożliwe. A tak, jakoś to jest, jakoś wytrzymuję. I przede wszystkim, nie winię Przemka ani siebie, nie myślę w ogóle, że to przez niego czy przeze mnie.

Przemek był zawsze maminsynkiem, nie będę ukrywał. Mnie to bolało, bo każdy chce mieć przecież syna, co to świat zawojuje i nie boi się niczego. Przemek taki nie jest, choć to pewnie nasza wina, tak go jakoś wychowaliśmy. Nigdy sobie nie prał, nie zmywał po obiedzie, nie sprzątał w sobotę, bo my to robiliśmy za niego, znaczy ja i Paulinka. Jakoś tak, nie wiem, nie wymagaliśmy tego od syna, bo sami dawaliśmy sobie radę, a żadne z nas nie pomyślało, że może właśnie trzeba, że powinno się dzieciakowi dać jakąś robotę.

A on tylko komputer i komputer. Prawie nie wychodził z domu po szkole. Siedział tylko w tym internecie i grał w gry. Czasem wchodziłem, jak oglądał film czy serial, bo teraz te seriale się znowu modne zrobiły, ale te w internecie, nie w telewizji, i chciałem z nim pooglądać, pośmiać się, powiedzieć „Patrz, ale dziewczucha!” albo pozachwycać się jakimś pościem czy coś, ale on jakoś się stresował chyba, denerwował się. Albo wtedy, jak wszedłem i oglądał ten serial, i była scena miłosna, wtedy się zaczerwienił, zawstydył strasznie i wyszedłem potem, bo widziałem, że go to krępuje.

Jakiś czas temu Paulinka prała mu kurtkę i znalazła w środku szklaną lufkę. Przemek powiedział, że to kolegi, bo kolega pali papierosy przez taką lufkę, bo nie lubi, jak mu śmierdzą ręce.

A potem Paulinka mu prała spodnie i znalazła w kieszonce, tej małej takiej, na przerwatywy chyba, mały woreczek, a w nim jakieś paskudztwo. Pokazała mi, przerażona, a ja pogadałem z Przemkiem. Powiedział, że to nie jego, i nic więcej. Powtarzał „Nie moje, tata, nie moje”. Dobrze, jak nie twoje, to oddaj właścicielowi i koniec. Nawet tego nie wyrzuciłem.

I dopiero jak przyszła Słomska, matka Kamila, to wtedy nas oświeciło. Bo Kamil palił marihuanę. I robił to podobno z Przemkiem. Od dawna już.

Wzięliśmy go na rozmowę, a że się nas bał, zwłaszcza Paulinki, to się zryczał i powiedział, że przeprasza, że już nie będzie. Ale nam to nie wystarczyło i miał powiedzieć, od kogo to kupuje. Nie chciał, zapierał się, płakał i w ogóle, ale mu nie popuściliśmy. Kupował od Klimy, a ten Klima to był „żołnierz” Kulasa. O tym Kulasie jak mówił, to się tak bał, że aż sam się przestraszyłem, co to za człowiek może być, że nawet jak Przemek siedzi w domu z rodzicami i jego pseudonim wymawia, to się tak boi.

Paulinka poszła sama do tego Klimy, bo nie chciała, żeby z nią szedł, zresztą ona zawsze była bardziej pewna siebie i wygadana niż ja. Poszła i nawrzucała temu Klimie, i wyzwalała też przy nim tego Kulasa, że on jest świnia, że takie rzeczy robi, no, i tam lżyła go podobnie potwornie. Jak wróciła, to aż się śmiała potem, kiedy w łóżku leżeliśmy wieczorem, że takie słowa znała, takie obrzydliwe.

* * *

Dwa dni później Przemek pojechał z Paulinką do sklepu, mieli zrobić jakieś zakupy, znaczy: ona miała, bo Przemek zawsze w samochodzie czekał i słuchał muzyki. Tylko że Paulinka nie miała prawa jazdy i zresztą, trzeba to było wsadzić wszystko do bagażnika i wnieść potem do domu. To Przemek pojechał. No i na tym parkingu zauważył go Klima z kolegami, przechodzili akurat. No i zaczęli bić Przemka, wyciągnęli go przez okno i tłukli kijami, pięściami, kopali po twarzy i brzuchu.

Akurat Paulinka wyszła i jak to zobaczyła, to wpadła w panikę i zaczęła krzyczeć, aż się zrobiło zbiegowisko i tamci uciekli. Przemus wstał, uspokoił się trochę, Paulinka go obejrzała i pojechali z powrotem. Ford focus dosłownie wbił się w nich, kiedy wyjeżdżali z parkingu. Przemus wyszedł pierwszeństwo.

U tamtego chuligana była potem policja, są wyznaczone terminy rozpraw, ale co mi po tym, tak już pewnie zostanie, będzie się to ciągnąć i ciągnąć. W ogóle, po co o tym mówić. Wziąłem dwie pastylki i czuję się teraz dobrze, obejrzę sobie trochę telewizję, może te modne ostatnio tańce, bo lubię zaspiać przy telewizorze, jak nie ma Paulinki.

A najgorsze jest to, że doskonale wiem, że tak już zostanie.

* * *

Zrobiłem dzisiaj pranie i kurczę, bardzo to dziwne, ale jak sobie usiadłem na ziemi i oparłem się o pralkę, to strasznie

dobrze mi się zrobiło, jakby ciepło – no bo wiadomo, w pralce ciepła woda jest, to oczywiście, że ciepło. Ale wydaje mi się, że to było jakieś takie inne to ciepło, takie uspokajające. Przemek spał, a ja sobie siedziałem i czułem miłe wibrowanie na plecach, jak mi to wszystko się tam trzęsło w środku, takimi miniaturowymi trzęsieniami, aż Pan Kręgosłup po raz pierwszy od dawna uciał sobie drzemkę.

Anetka mi załatwiła takie plastry, dodatkowo do tych pastylek, kochana jest, Anetka, moja bratowa, tylko mówiła, żeby za dużo nie brać, bo uzależnia, to przecież morfina. Dobrze, nie będę brał więcej niż pół plastra dziennie, przecież jutro muszę iść do pracy, życie, jak to mówią, toczy się dalej. Ale bez Paulinki?

Wyżeł, Rudy i dziewczynka z pieskiem, ciągle to samo

W pracy wszyscy mi współczują i prawie nic nie mam do roboty. Szef daje jakieś takie rzeczy porządkowe, tu ułóż coś, posegreguj, czy mógłbyś zrobić nam taki rejestr, albo wymienić te koperty, bo już takie stare. Rzeczy takie to się daje praktykantom, ale widocznie mój stan wymaga obecnie tego, żeby w pracy traktować mnie jak praktykanta.

Samochód u mechanika, na razie nie odbieram go, bo na tych plastrach nie można prowadzić, to znaczy można, ale nie zaleca się, a ja nie czuję się jeszcze na siłach, zresztą, jeszcze chyba nie wymienili tych szyb, co to je potłukli tamte gnoje.

Dopiero czwartek, a ja już zauważyłem, kto jeździ autobusem, znaczy, bo ciągle te same osoby jeżdżą. Najpierw jednak, zanim do autobusu dojdę, a przecież daleko nie mam, kawaleczek, no ale dojść trzeba, więc najpierw zawsze mijam blok za prywatnym parkingiem, i w tym bloku na parterze jakiś chłopak gra na gitarze elektrycznej. Codziennie.

Potem stoję na przystanku i pierwszy pojawia się Wyżeł. Jest diablo wysoki, więc tak go nazwałem. Wyżeł zawsze jak czeka na autobus, to je. Najpierw banana, a potem płatki Fitness, wsypując je bezpośrednio do buzi, z takiej małej paczuszki jednorazowej. Muszę też sobie kupić takie, i Przemusiowi, może polubi. O siódmej czterdzieści jeden wsiadamy razem do dwa zero i jedziemy. A w środku już jest pełno ludzi, tak pełno, że na razie tylko w poniedziałek i środę usiadłem, a we wtorek i czwartek, znaczy dzisiaj, musiałem stać. Zawsze jedzie też z nami Rudy, on już siedzi, jak wsiadamy z Wyżłem.

Rudy jest przedziwny. Ma nadwagę i twarz trochę jakby naznaczoną zespołem Downa; czasem tak jest, że człowiek nie jest chory, ale prawdopodobnie miał być. W planach Boga coś się w ostatniej chwili zmieniło, nie zdążył jednak wszystkiego cofnąć: chorobę zdołał naprawić, twarzy już nie. Tak właśnie było z Rudym. Do tego przez te cztery dni, za każdym razem, odbierał telefon lub sam dzwonił i rozmawiał ze swoim zwierzchnikiem chyba, w każdym razie z jakimś panem Robertem. Rudy darł się wtedy na cały autobus, krzychał o kablach ósemkach i dziesiątkach, o ofugowaniu, tynkach, wałku jedenastce i o tych specjalnych regipsach czy płytach pilśniowych. Tłumaczył tak i tłumaczył, a wszyscy słuchali i patrzyli na siebie z pełnymi politowania uśmiechami. Tylko ja się nie uśmiechałem, moja twarz nie potrafi się już uśmiechać. Czuję, że Paulinka odeszła i przez przypadek zabrała też ze sobą te moje mięśnie, które odpowiadały za uśmiechy.

Oprócz Wyżła i Rudego jeździ jeszcze dwóch chłopaków, którzy urodzili się chyba ze słuchawkami w uszach i nie potrafią ich wyciągnąć, oraz mała dziewczynka z pieskiem. Dziewczynka nosi długą czerwoną kurtkę i zawsze ma na rękach tego swojego psiaka, ładnego spaniela, choć nie mam

pojęcia, gdzie ona może jeździć z nim codziennie o godzinie siódmej czterdzieści jeden.

* * *

Po pracy zawsze wracałem autem i jechałem do Tesco, teraz skazano mnie na autobus, a on zatrzymuje się przy Chacie Polskiej, więc to tam, mimo że chyba drożej, robię codzienne zakupy. Spieszę się zwykle, bo nie wiem, czy Przemek wytrzymał tak długo beze mnie, czy sikanie i kupa, do której zmuszam go zawsze tuż przed wyjściem z domu, wystarczyły i czy nie cierpi teraz na łóżku, albo – nie daj Boże – czy się w nim nie zmoczył.

* * *

— Cześć, synek! — ułożyłem siatki na stole (w Chacie Polskiej dają jeszcze foliowe siatki, ale pewnie i tam wkrótce się to dobre skończy, bo wszędzie zaczynają być „eko”) i poszedłem sprawdzić, co u Przemka.

Spał.

Popatrzyłem na niego i wróciłem do kuchni. Poukładałem wszystko na półkach i w szafkach, starałem się trzymać schematu, którego używała Paulinka: słodycze dla Przemka w szafce u góry, przy oknie, kawa i herbata nad zlewem, lekarstwa, soki i woda na dole przy drzwiach. Nie wszystko jednak pamiętałem i było mi głupio, że tak zaniedbuję to wszystko, że wprowadzam tu chaos, co ona powie, to znaczy: co powiedziałaaby, gdyby to wszystko widziała?

Wyjąłem z szuflady plaster od Anetki i przykleiłem pod obojczykiem. W tym momencie zadzwoniła mama.

Jak się trzymasz, Tadziu? Jak w sądzie? Jak to: nadal nic? Tadziu, a na cmentarzu byłeś? Bo wichura była, pewnie powywracała wszystko, może by tak sprawdzić? A Przymuś? Jak się czuje?

Odpowiadałem niemrawo, chciałem jak najszybciej się rozłączyć i zrobić pranie. Odłożyłem słuchawkę, ale w ła-

zience nie znalazłem żadnych brudnych ciuchów. Kurczę, trzeba zrobić pranie.

W sypialni była jeszcze jakaś pidżama, może nie brudna, ale już noszona, ze stołu w kuchni zdjąłem serwetę i włożyłem te dwie rzeczy do pralki. Nic innego nie było, ale chciałem zrobić pranie, chciałem oprzeć się o ciepłą, wibrującą maszynę.

Usiadłem i włączyłem najdłuższy program, nie wsypując nawet proszku – po co na te dwie rzeczy, i tak się wypiorą. Kiedy pralka zaczęła chodzić, poczułem się lepiej – Pan Kręgosłup znowu zasnął, a ja wyczyściłem umysł. Zupełnie jakby ta pralka prała we mnie, w środku, czyściła mózg i jakąś niewidzialną rurą wyprowadzała z niego brud i ciemne myśli.

Kiedy tylko pranie się skończyło, od razu poszedłem spać. Ciuchy przez jedną noc przecież nie zgniją, a mnie było tak dobrze.

* * *

Obudziłem się sam w łóżku, Paulinka w kuchni zachowywała się wyjątkowo cicho, nawet nie włączyła radia. Zawsze włącza radio.

Jezu, o czym ja myślę. Wstałem, opłukałem twarz zimną wodą i poszedłem do Przemka. Oglądał telewizję.

— Sam włączyłeś?

— Jak się mocno postaram, to wciskam łokciem — uśmiechnął się krzywo.

Zjedliśmy śniadanie i poszedłem na przystanek. Wyżeł wysypywał do buzi płatki Fitness. Muszę odebrać w tym tygodniu samochód.

* * *

W pracy znowu oglądałem profil Paulinki na naszej-klasie. Założyliśmy sobie tam konta ze znajomymi i była z tego kupa zabawy – znajdujesz człowieka, którego nie wi-

działeś dwadzieścia lat, zgadujesz, jak teraz wygląda i czym się zajmuje, a potem to sprawdzasz i jest dużo śmiechu.

Paulinka ma na swoim profilu stu ośmiu znajomych, dużo więcej niż ja, ja mam zaledwie sześćdziesięciu dwóch. W ogóle ona zawsze była bardziej towarzyska, trochę mnie to czasem drażniło nawet, szczególnie jak mówiła mi o swoich poprzednich mężczyznach z młodości. Miała ich wielu i chyba dlatego na początku tak bardzo się starałem, żeby wypaść na ich tle jak najlepiej, żeby być dla niej tym jedynym, najważniejszym. Potem tak mi zostało i już zawsze byłem raczej dobry dla Paulinki, choć wiadomo, chwile gorsze też się przecież zdarzały.

W pracy nadal prawie nic do roboty, same rzeczy porządkowo-administracyjne. Pracuję w firmie produkującej materiały ściernie, głównie okrągłe tarcze do wszelkich maszyn i papier, taki zwykły, ścierny. Za tydzień wchodzi nam audyt do biura, będą trzepać po segregatorach i szukać dziury w całym, zawsze znajdują. Tak się nawet kiedyś zastanawiałem, skąd się bierze takich audytorów, oni przecież nie są normalnymi ludźmi, to istoty bez serc. Może ich się specjalnie chowa od małego na takich zimnych, co to wejda i narobią wszystkim przykrości.

Tak czy inaczej, przed audytem zawsze jest wielka nerwówka, mnóstwo roboty i stres, który czuć w powietrzu, który aż skrapla się na ścianach. Powinni dać mi dużo rzeczy do zrobienia, choćby przeanalizowanie prawidłowości monitoringu należności spływających od tych klientów, z którymi zawarłem kontrakty, ale nie. Nic mi nie dali.

Wyszedłem do ubikacji i nakleiliśmy drugi plaster, na ramieniu. Od razu było mi lepiej, wróciłem uśmiechnięty. Z dystrybutora nalałem sobie wody do plastikowego kubeczka i popiłem pastylkę. Teraz tylko czekać do szesnastej trzynastki. Pan Kręgosłup poszedł spać.

* * *

Nie miałem już nic do prania. Uruchomiłem najdłuższy program, nalałem sobie wina, tego, które piliśmy we czwórce, jak przyszli Kociembowie, i usiadłem w łazience. Bęben był pusty.

Przemek leżał u siebie i patrzył w telewizor, a ja oparłem się o pralkę i zamknąłem oczy.

synek

Ocknąłem się jakąś godzinę później, pralka już nie prała. Zbudził mnie alarm samochodu na zewnątrz. Wszedłem do Przemusia, żeby zobaczyć, czy czegoś nie potrzebuje, a on leżał ze straszną miną. Obie ręce wyswobodził z temblaków i miał je całe brudne. Wokół mojego synka było mnóstwo rzadkiej kupy, widać, że próbował zwinąć kołdrę i prześcieradło, ale mu nie wyszło. Dostał rozwolnienia, pewnie od leków, tylko dlaczego mnie nie zawołał?

Zrobił przerażoną minę, a ja od razu wyszedłem. Żaden z nas się nie odezwał, ale domyślałem się, jak bardzo głupio musiał się czuć. Posprzątałem później, a on powiedział mi, że wołał mnie długo, ale chyba spałem i pralka głośno chodziła. Kiedy zawołałem go na kolację, powiedział, że nie chce. To było w piątek.

A w sobotę się zabił.

* * *

Jak on się dowłókł do kuchni, naprawdę nie mam pojęcia, musiało mu to zająć z pół dnia, bo przewrócony wózek leżał przy łóżku w pokoju. Lekarstwa mieliśmy w tej szafce u dołu, połknął dosłownie wszystko, co tam było.

Znalazłem go po powrocie z serwisu – musiałem poczekać, aż wstawią ostatnią szybę do auta.

Przemek leżał na podłodze i miał chłodną szyję. Te kafelki były zimne jak śnieg, pewnie go od razu wychłodziły. Na

samym początku w ogóle nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się stało: uklęknąłem przy nim, poprawiłem włosy i przytuliłem go. Wyjąłem z kieszeni dwa plastry i nakleiłem sobie na brzuch. Czułem się, jakbym oglądał film, byłem tego pewien. Przecież w rzeczywistości Przemek nigdy by tego nie zrobił, nigdy. W jego pokoju znalazłem ogromną torebkę czegoś zielonego, najprawdopodobniej marihuany. Obok leżała szklana lufka, taka sama jak ta, którą kiedyś znalazła w jego kurtce Paulinka. Nie miałem pojęcia, co się z tym narkotykiem robi, jak dokładnie to trzeba palić, zaniósłem więc do kuchni (w przedpokoju miałem mroczki przed oczami, tak na mnie zadziały te plastry), nasypałem trochę tego na palnik kuchenki i włączyłem gaz. Płakałem i patrzyłem na Przemusia, jak tak leży i nie żyje. Trzeba po kogoś zadzwonić, po policję, po pogotowie. Jezu Chryste!

Szybko się to zapaliło, a ja połknąłem trzy pastylki. Wyłączyłem gaz i nachyliłem się nad kuchenką, dym owiewał mi twarz, a ja wdychałem go głęboko, głęboko. Ten dym wnikał we mnie i nie wychodził, płuca musiały się jakoś rozciągnąć, zająć całe moje ciało, wcisnęły się nawet w ręce i nogi. Dym tam już zostawał, zmiękczając mi kości i stawy, a ja wdychałem dalej. Mój Boże, przecież niemożliwe, że Przemus mi to zrobił. Trzeba coś... trzeba coś zrobić. Szybko.

Biorę go za ręce i zarzucam je sobie na szyję. Spadają.

Robię to jeszcze raz. Spadają.

Robię to jeszcze kilka razy. Zawsze spadają.

Dociągam go do pokoju.

Leży.

Przecież muszę go ogolić, tak, ogolony będzie wyglądał znacznie ładniej. Tylko te włosy, o. No nieźle, jak na takie zwykłe nożyczki.

Jeszcze wdycham, tli się już tylko, teraz nasypałem więcej, czuję ten dym we mnie, w środku, jak tam się gnieździ, robi sobie we mnie takie swoje dymne domostwo jakieś.

O, te niebieskie majtki ładne, gdzie on miał garnitur? Paulinka schowała. Jak wróci, to zapytam.

Ten plaster na szyi jakoś dziwnie szczypie. Albo wydaje mi się.

Drrrryd, drrrryd, drrrryd. Jak przyjemnie, nic nie boli, *drrryd, drrrryd, drrrryd*, nic nie dokucza. Pralka pierze ciemność. Patrząc, ta ciemność przelewa się w środku, nie wiedziałem, że ciemność może się przelewać. Zachodzę do Przemka, nadal śpi.

Gdzie ta Paulinka? Chyba za godzinę już tu będzie. Czy ja powinienem być zazdrosny?

Ha, ha, dobre. Chyba o zimny piasek powinienem być zazdrosny, i o te deski, co w nich leży moja Paulinka.

Ale Przemek niech się prześpi. Zamykam drzwi od łazienki, by go nie obudzić, i dalej opieram się o pralkę.

Nie rozumiem ludzi, którzy lubią wódkę.

Niedobra jest.

Zaczynam się martwić, Przemek śpi dalej.

Wdycham i aż mi niedobrze od tego. Wymiotuję do zlewu (to chyba ta wódka), na brudne naczynia, brudne naczynia, brrrrrudneeee naczynia. Więc wymiotuję na nie (na brrrrudneeee naczynia, na nie wymiotuję) i czuję, jak w przełyku ktoś zapala zapalniczkę. To pewnie ten dym, który we mnie zamieszkał. To on ją zapala.

Jak wypiorę tę ciemność jeszcze parę razy, to ciekawe, czy zrobi się jaśniejsza. Czy można wyprać ciemność?

* * *

Czy przed chwilą na zewnątrz było już tak ciemno? Nie, ciemno było tam, w środku, w pralce, ale to ciemno wyszło z niej chyba, kiedy byłem w kuchni, i uciekło za okno. Teraz tam siedzi i już go nie wypiorę. Muszę zacząć prać nową ciemność.

Piorę już trzeci raz.

Piorę już piąty raz, jest noc, a ciemność jest taka sama, jak ciemność wcześniej. Przemek dalej śpi. Jest noc, to co ma robić? Śpi, no pewnie, ale gdzie ta Paulinka? Zaraz przyjdzie. Za godzinę powinna tu być.

Odchodzę od pralki i czuję, że Pan Kręgosłup wierci się we mnie i uwiera, mocniej niż kiedykolwiek. Chce wyjść z ciała, wiem to, czuję, jak się niecierpliwi, gdy odginam głowę, by połknąć pastylki.

Wyszedł, czy nie wyszedł? Bo mi miękko. Ale może dlatego miękko, że siedzę przy pralce – wtedy zawsze miękko. Oglądam ten film o moim mieszkaniu i wszystko jest takie podobne, tylko przeskakuje, hopsa, ręka przy tułowiu, hopsa, już wyciągnięta, hopsa, znowu przy tułowiu. A kiedy sikałem? W międzyczasie jakoś. Urywki.

Urywki, urywki, same urywki. Tego filmu.

Z pralki ktoś mówi. Na początku myślę: Pan Kręgosłup mówi, odezwał się do mnie, wreszcie, po tylu latach milczącego dokuczania.

To nie on. Jego przecież nie ma w pralce, on jest we mnie, w środku, opatulony ciepłutkim mięskiem, znaczy się: mną. Jest we mnie, jeszcze.

— Czy jesteś gotowy, Tadeuszu? — pyta ktoś z pralki, to pewnie ta ciemność, bo niczego innego tam nie widzę.

— Na co? — odpowiadam.

— Jak to, na co? — dziwi się pralkowy głos, to znaczy Ciemność. — Na Bal!

— Na Bal? — pytam zaskoczony, ale od razu rozumiem.

Bal! Lecę po zdjęcie z kuchni i stawiam na pralce. Paulinka i ja. Ja i Paulinka.

— Przyłóż ucho. Powiem ci coś.

Przykładam.

Mówi.

Uśmiecham się i lecę do szafy.

Wpycham ciuchy do środka, a woda leje mi się na stopy. Wpycham ubrania i ścierki, wszystko, co jest w szafie. Znoszę do łazienki i wpycham. Wpycham.

Tylko gdzie ta Paulinka? Wchodzę do Przemka, zimno mu, cały skostniały.

Kocyk pod szyję, o tak. Śpij, synek, śpij, bo cię pobili te dranie.

Paulinka. Za godzinę powinna tu być.

Wracam do pralki, a ona pierze te ciuchy i miesza je z Ciemnością.

Ja wiem, że to już nie będą te same ciuchy; po zmieszaniu będą innymi ciuchami, może nawet nieciuchami?

Nie. No nie zdradzam tajemnicy.

Bal

Chwilę później, tak jak obiecała łazienkowa Ciemność, rozpoczyna się Bal. Nie wiem jeszcze, jak dokładnie będzie to wyglądać, kto puści muzykę, kto tańczy z kim, nie wiem. Nic w zasadzie o tym Balu nie wiem. W ogóle po co to? I czy będzie Paulinka? Bo jeśli nie, to z kim mam się bawić?

Najpierw wychodzą z pralki biesiadnicy.

Pierwszy jest Stary Dżins – wytarte spodnie, mokre i ciepłe, do tego katana. Wywleka się z pralki, ja wiem, że to Stary Dżins. Wreszcie wychodzi cały, jest nieco wygnieciony i wymięty.

Unosi rękawy, jakby chciał westchnąć, ale nie wdycha. Rozkręca się, prostuje. Teraz wygląda już dużo lepiej.

Stary Dżins.

Ledwo uściśnałem jego mokre i ciepłe przedramię, a już z bębna wyskakuje kolejny gość – to Spódnica Rozpustnica. Cała pomięta i faktycznie chyba rozpustny z niej ciuch. Kapie z niej i może na początku nie zdaję sobie z tego sprawy, ale po chwili orientuję się, że Spódnica Rozpustnica płacze.

— Czemu pani płacze?

Ona nic, tylko płacze jeszcze bardziej. Uczepia się jej Glistowata Skarpetka, jedna, potem druga i kolejne: cały zastęp Glistowatych Skarpetek wyłazi z pralki i się na niej wieszają. Pojawiają się kolejni biesiadnicy. Jest ich wielu.

Jesteśmy w pokoju Przemka, on nadal śpi, ale Ciemność z pralki uważa, że spokojnie możemy rozpoczynać Bal. On się na razie nie obudzi. Śpi twardo. Brązowy Garnitur Numer Dwa (Paulinka numerowała mi garnitury) staje przy oknie i patrzy w noc, a z rękawa, niczym zluźowany pejcz, zwisa mu ociekający wodą krawat. Krrrawat. Krrrraaaawat. Dołączają do niego kolejni, Spódnica Rozpustnica próbuje przytulić się do Brązowego Garnituru Numer Dwa, ale ten odtrąca ją brutalnie. Spódnica płacze jeszcze bardziej.

Jasna Glistowata Skarpetka pełznie przez pokój w kierunku łóżka. Spogląda na Przemka, wchodzi na niego, sunie po ciele. Jest na twarzy, przesłania powieki. Dołączają do niej kolejne Skarpetki, wszystkie suną po moim synku, a on nic.

Z łazienki przychodzą następnymi uczestnicy Balu, w drzwiach pokoju zjawia się Rozpłaszcz, wielki, granatowy i jakby zaropiały – po tkaninie lecą w dół strugi brudnej wody. Od razu myślę o nim, że jest charyzmatyczny. Rozpłaszcz ciągnie za sobą Bieliznę, która z bielą wspólnego nie ma nic. To bielizna Paulinki, jest cała zakrwawiona, a ja czuję strach.

* * *

To Bal bez muzyki, teraz już wiem. Muzyka tak naprawdę tylko przeszkadza w zabawie, w tańcu z myślami, w wirowaniu z uczuciami. Boże święty, śniło mi się, że Paulinka nie żyje! Szybko do kuchni.

Plaster, nie mam już prawie miejsca na sobie.

Wdycham, wdycham znowu. Ależ on tego miał dużo, znać ma, Przemek ma tego dużo, tej marihuany.

Więc Bal bez muzyki.

Najpierw tańczę z Rozpustnicą. Przyciska mnie do siebie, czuję, jak sweter przemaka mi na piersi. Spódnica cała jest już na mnie, uwiesza się, wciska we mnie, oblepia krocze. Tańczymy powoli, obracam się z nią i widzę, jak Smukła Suknia wyciąga Przemka z łóżka, niemal wrywa mu rękę i wlecze do tańca.

— On śpi! — krzyczę, ale Rozpustnica nie puszcza i muszę tańczyć dalej.

Przemek wisi na Sukni, z ust cieknie mu ślina, a tyłek ma brudny, brązowy. Nie wytarłem go dobrze, to moja wina.

Odbijany.

Frunę teraz ze Smukłą Suknią, a Przemka przejmują Rozpustnica. Cisza aż wgniata się w uszy, ktoś gasi światło w przedpokoju i Ciemność zza okna wchodzi do pokoju. To jest chyba ta, którą prałem, ale nie wygląda na wypraną, jest zupełnie ciemna.

Smukła Suknia dobrze prowadzi, ale znowu zaczynam odczuwać strach – przecież Przemek w końcu się obudzi. Co on powie?

— Proszę tak nim nie miotać — zwracam się do Spódnicy Rozpustnicy.

Ktoś przykleja mi kolejny plaster, tym razem na czoło. Ma identyczne dłonie jak ja.

Tańczymy.

Wywijam z całym tabunem Glistowatych Skarpetek, a zakrwawiona bielizna Paulinki przygląda się temu z biurka. Chce mi się płakać.

Wszyscy tańczą, wirują, w ramiona wpada mi bezwładny Przemek. Jest tak zimny, że zaczynam się martwić, czy coś mu się nie stało, ale nie – to pewnie Spódnica tak go wyziębiła, jest przecież cała mokra i bez przerwy chlipie.

Brązowy Garnitur Numer Dwa przegina do tyłu Nocną Koszulę, ta przelewa mu się przez ramiona, wiotka i zupełnie zasłuchana w rytm, którego przecież nie ma. Na łóżku

podskakują Glistowate Skarpetki, a po podłodze, między nogawkami tańczących, wiją się wilgotne paski, które kłapią klamrami, gdy ktoś je niechcący nadepnie.

Po ścianie, znacząc tapetę wilgotnymi smugami, przebiegają czarne wełniane rękawiczki, co chwilę splatając się ze sobą i wieszając na firance. Za nią, jakby w pokoju było jej jeszcze mało, czai się Ciemność. Tym razem jest ogromna i chyba jeszcze ciemniejsza. Przyciska się do szyby, rozpląszcza na niej i wiem, że gdyby na szkle pojawiła się rysa, to po chwili zmieniałaby się w dorodną pajęczynę pęknięć. Napór na przezroczystą taflę jest tak wielki, że szyba rozpadłaby się wtedy na kawałki, a Ciemność wlałaby się do pokoju i zatopiła wszystkich tańczących, zlewając się z tą Ciemnością, której w pokoju już przecież trochę jest.

Zdjęty strachem, uciekam.

* * *

Siadam w kuchni, taboret wydaje mi się szalenie miękkie. Boję się, że za chwilę zmięknie jeszcze bardziej, że będzie jak guma, a ja spadnę na ziemię. Na dodatek od środka utwardza mnie dym z papierosa, więc upadek będzie tym boleśniejszy. Zaciągam się, a obok mnie staje Rozpląszcz.

Postanawiam zapytać o to, co się dzieje. Co się dzieje i dlaczego nie ma tu Paulinki. Ona zawsze organizowała te spotkania u nas w mieszkaniu. Bez niej za chwilę zapanuje tu wielki nieporządek.

— Po co to wszystko? — Słyszę swój głos, wypełzający ze mnie jak ubrania z pralki. — Źle się czuję.

— Przeprowadzimy pana.

— Przeprowadzicie mnie?

— Przeprowadzimy pana przez Rozplącz. Bo musi pan teraz przejść przez Rozplącz. Samemu byłoby ciężko, więc tu jesteśmy. Nikt nie przechodzi przez Rozplącz samemu.

— Jaką rozpacz? — zdziwiłem się. — Ja nie rozpaczam, jestem szczęśliwy. Tylko trochę mi palce zdrętwiały.

Rozpłaszcz kładzie mi tylko mokry rękaw na ramieniu (jest przeraźliwie zimny) i bez słowa opuszcza kuchnię.

Wdycham mnóstwo dymu z papierosa, ciekawe, czy dużo się go jeszcze we mnie zmieści, gdzieś przecież musi być granica.

Siedzę potem długo i wkładam głowę pod kran. Czuję się lepiej, choć pod czaszką ktoś chyba schował mi telefon z włączoną wibracją, tak boli.

Przemuś

Kiedy wchodzę do pokoju, nikt już nie tańczy, wszyscy leżą na podłodze w wielkiej plamie wody, a Przemek spoczywa na łóżku i o mój święty Boże, nie żyje.

Potykam się o pasek, biegnę do kuchni i wdycham znowu dym, mało już zostało tej marihuany. Wyrzebuję z szafki wszystkie plastry i przyklejam na łopatkę chyba z sześć od razu. Piję wodę z kranu i połykam pastylki.

W pokoju wszyscy siedzą pod ścianą, a na środku dywanu, w lepkim świetle włączonej przez kogoś lampki biurowej, dumnie stoi chyba coraz bardziej zaropiały Rozpłaszcz.

Zarrropiały.

Zarrropiały Rrrrozpłaszcz. Rrrrozpłaaaszcz.

Przemuś leży na łóżku, ale teraz jest już ubrany w swój szary garnitur w delikatne paski, a ręce ma splecione na brzuchu. Włosy obcięte, uczesane. Sińce pod oczami. Rozchylone usta.

— Już czas. Idziemy — mówi Rozpłaszcz.

Migają mi twarze. Brat, bratowa, zapłakany ojciec. Kuzyńni, mój najlepszy przyjaciel Karol, Andrzejek z Kalisza i jego wielka żona, Patrycja, koleżanka Przemusia z kursu angielskiego. Nie widzę nigdzie Paulinki.

Pojawiają się coraz to nowe twarze, większość z nich znam, tylko części nie kojarzę. Wydłużają się i każde kolej-

ne oblicze jest bardziej smukłe, podłużne i ciemne. W końcu twarze wydłużają się tak, że przypominają drzewa. Pomiedzy nimi wyrastają z ziemi pomniki.

Tłum czeka przed kaplicą, jest ciepło, gorąco wręcz, a zza otwartych masywnych drzwi wylewa się Ciemność. Jest zupełnie niewyprana, przeciwnie – widać, jak ciężko, ciemno wisi nad wytartą posadzką kaplicy. Ta Ciemność jest jak chmura, z której za chwilę wytrysną strugi deszczu, tylko że z niej nie popłynie woda, by spaść na dachy bloków i przepłoszyć koty, by rozchlapać się na trawniku i zostać łapczywie wchłonięta przez ziemię, nie. Z tej Ciemności wypłyną zaraz głosy. Krzyki, wrzaski, lamenty. Między innymi mój, bo siedzę w pierwszym rzędzie, z głową zwieszoną na pierś. Tuż przy mnie siedzi ojciec, z drugiej strony Karol, lecz jakby odrobinę dalej. Między nami pozostaje trochę wolnej przestrzeni i uświadamiam sobie, że to przecież miejsce dla niej. Pewnie się spóźni. Gdzie jest? Nie wiem, ale wydaje mi się, że najpóźniej za godzinę powinna tu być.

Nagle na pustym miejscu siada Rozpłaszcz, a na kolanach wije mu się ociekający wodą pasek. Spoglądają na mnie obaj z poważnymi minami, a Rozpłaszcz kładzie mi chłodny rękaw na ramieniu. Kiwa kołnierzem i jest jakaś taka boleść w tym ruchu.

Wreszcie wychodzimy, ale zanim to nastąpi, najpierw dzieje się coś innego.

Podchodzę.

Przemusiowi zamknęli już usta, choć wygląda, jakby leżał i marzył tylko o tym, żeby znów je otworzyć. Sińce pod oczami rozlewają się chyba jeszcze bardziej, na całą twarz, jak tak dalej pójdzie, to za parę dni będzie już zupełnie siny. Co wtedy? Co się stanie wtedy, kiedy mój synek będzie już cały siny? Kto z nim będzie rozmawiał i kto uspokoi go, kiedy obudzi się i dostrzeże tę swoją ohydłą siność?

Podchodzi kolega i wkłada mu coś do trumny. Uśmiecha się mdło. To przenośny odtwarzacz gier, Przemus chciał sobie kiedyś coś takiego kupić, ale w sumie go nie potrzebował, bo miał w domu tę konsolę, a grał przecież w domu. Gra się w domu; te małe odtwarzacze gier muszą produkować dla zmarłych.

Czterech mężczyzn nakłada to wieko, ale nie martwię się – przecież zaraz je zdejmą. To mój Przemus, oni nie mogą go tak po prostu zakopać.

Kiedy siwy wąsaty facet o przedramionach olbrzymich niczym dwa delfiny zakręca pierwszą śrubę, Ciemność gęstniejąca przy ścianach kaplicy wreszcie pęka i zalewa nas wrzaskiem. Ryk należy do kobiety, ale nie do Paulinki. Po chwili przyłącza się do niego następny. Krzyk wylewa się z tej Ciemności coraz bardziej, gęstnieje wokół mnie i zalewa wszystko. Przechodzą mnie dreszcze, ale to chyba dlatego, że stoję na zewnątrz i zrobiło mi się nagle gorąco. Patrzę, jak wychodzę z kaplicy na czele pochodu, a przede mną płynnie trumna z Przemusiem.

Nie, nie z Przemusiem. On przed chwilą w niej leżał, to prawda, ale teraz, kiedy to lśniąca drewno przesuwają się w przestrzeni, coraz dalej, to nie potrafię sobie wyobrazić, że tam w środku, jak jakaś kukła, leży on. Że głowa Przemusia, która wyszła kiedyś z Paulinki, sprawiając jej taki ogromny ból, i którą tyle razy myłem, głaskałem, tuliłem i cesałem, spoczywa teraz na poduszce, do której pracownicy zakładu pogrzebowego zamietli śmieci z podłogi. Że łokcie mojego synka spoczywają na materiale, przybitym do desek pneumatycznymi zszywaczami. Jeśli faktycznie miałyby tak być, to ja naprawdę nic nie rozumiem. Spódnica Rozpustnica przykleja się do mnie i wisi na ramieniu. Płacze. Ja płaczę także.

Nie mogę wytrzymać tego widoku i zamykam oczy. Otwieram je.

Trumnę niosą cztery osoby, ale coś się nie zgadza.

Z tyłu niosę ją ja i dziewczynka z pieskiem w torebce. Z przodu, trzymając się fachowo za ramiona, pod ciężarem Przemusia uginają się Wyżeł i Rudy.

Rudy w wolnej dłoni ściska komórkę i krzyczy coś do swojego przełożonego, pana Roberta:

— Ale panie Robercie, tam poszły regipsy czwóreczki, nie można grubszych! Oczywiście, szpachel już tylko na łączeniach. Tak, tak, zrobiliśmy. Jak wyszło? Dobrze, usta normalnie zamknięte. Słucham? Mówię, że usta zamknięte. Tak. No, nie. Trochę było. Musieliśmy, ten, no, musieliśmy od środka ofugować i takim drucikiem. No, ale się udało. W porządku, rozumiem. Do widzenia.

Wyżeł nie mówi nic. Jak zwykle. Zachowuje się tak, jakby siedział w autobusie – kołysze się tylko na boki, kiedy idzie, i spogląda przed siebie. Musi widzieć przed sobą szybę, która cofa się po każdym jego kroku. Bo patrzeć w ten sposób to można tylko właśnie przez szybę – jakby świat ciebie nie dotyczył, jakbyś był tylko obserwatorem, a nie, broń Boże, uczestnikiem.

Daleko jeszcze?

Głęboko jeszcze?

Spuszczają tę trumnę już tak długo, jakby chcieli przewiercić nią Ziemię. Wyobrażam to sobie i dochodzę do wniosku, że może gdzieś w Chinach jest jakiś wygrzeb. Stoi tam czterech skośnookich brutali i ciągnie za liny, aż wreszcie wydobędą, wygrzebią na wierzch ciało. Ale skoro my je tu grzebiemy, a oni wygrzebują tam, to w Chinach musi znajdować się Niebo, tak?

Czy Niebo jest w Chinach?

I teraz pytanie: nawet jeśli tak, to czy Przemus tam trafi? Kolana wbijają mi się w ziemię, czuję, jak łyzy spływają po twarzy. Obok klęczy Rozpłaszcz i trzyma moją rękę.

Ktoś łapie mnie pod pachy i ciągnie do góry.

— Trzymaj się, Tadziu. Musisz się trzymać.

Karol, to jego głos. Tylko że Karol nie wie, czemu ja płaczę, bo to nie przez śmierć Przemka.

Tylko przez to, co widzę pod ziemią.

trudna droga do Chin

Pod ziemią sunie w dół trumna z Przemusiem. Oplatają ją dwa komplety lin. Jedne są polskie, drugie chińskie, choć pewnie na jednych i drugich widnieje napis *Made in China*. Te nasze spuszczają w dół ciało mego synka, drugie ciągną je do nieba, to ci czterej potężni skośnoocy mężczyźni. Ciągają jak szaleni, bo wiedzą to, co ja.

Wiedzą, kto czeka w samym środku Ziemi, po drodze do Chin.

Jest tam wielka dziura, a w niej najpiękniejsze kobiety, jakie kiedykolwiek ktokolwiek widział. I kuszą.

Pukają do trumien, sunących przez dziurę, i kuszą, liżą polakierowane, oblepione piaskiem deski i śpiewają. Śpiewają przepięknie, a wyciągnięte języki, jeżdżące po trumnie, wcale im w tym nie przeszkadzają. Potrafią skusić każdego, dlatego też ci czterej ogromni Chińczycy ciągną trumny do góry, jakby się paliło. Bo faktycznie się pali.

Po tym, jak zakopują cię w ziemi, zaczyna się kolejny etap, żyjemy przecież wiecznie. Początek tego etapu to wybór, bo wybory znaczą życie jak białe kreski na bieżni. Od nich wszystko się zaczyna, na nich wiele rzeczy się kończy. Tym pierwszym wyborem po śmierci jest otwarcie trumny bądź pozostawienie jej zamkniętej. Pozostawić ją zamkniętą to tak, jakby jechać przez dżunglę amazońską i nie odsłonić żaluzji.

Wielu więc otwiera trumny, a całować kobietę taką jak te, które widzę pośrodku Ziemi, pragnie każdy, bez wyjątku. Żyjąc, każdy pragnie powietrza i nie ma takich, którzy go nie

potrzebują – po śmierci też nie ma się wyboru – a te kobiety można tam brać przecież całymi garściami.

Oddają się całe, wychodzisz z trumny i przez chwilę przeżywasz najpiękniejszą w życiu ekstazę; po chwili nie możesz już przestać. Język puchnie w ustach najpiękniejszej kobiety, nie można go już wyjąć. Nie można wyjąć tego języka przez następne miliony lat, trwając tak, sekunda po sekundzie. Wyjść z niej też nie można, wszystko jest obtarte i krwawi, coraz mocniej, z minuty na minutę. Ból narasta. Ile można wytrzymać w takiej pozycji? Dzień, dwa? A sto lat, tydzień, dwieście czterdzieści siedem milionów lat?

Jeśli więc Chiny to Niebo, to ta dziura jest Piekłem.

Pamiętaj, nie otwieraj. Tata będzie za ciebie trzymał kciuki. Powodzenia, Przemus. Powodzenia, synku.

narkotyki

— Tadek, czy ty brałaś narkotyki? Powiedz, zrozumiemy. Przytrafiło ci się coś potwornego, człowiek znacznie gorzych rzeczy potrafi się wtedy dopuścić.

To Mirka, żona Karola. Jej twarz wisi nade mną, pozbawiona silnego zwykle makijażu, za to pełna troski. W oczach Mirki mieszają się współczucie i strach, a ja czuję, że jeszcze nigdy Pan Kręgosłup nie bolał mnie tak bardzo. Wrzyna mi się w tkanki, jakby ktoś podmienił go na inny model, niepasujący do pozostałych organów wewnętrznych, do proporcji ciała. Jakby chciał wyjść ze mnie na chwilę, rozpruć plecy i wyprysnąć niczym ropa z wrzodu.

— Brałaś narkotyki? — powtórzyła.

— Tak — wydobyłem z siebie ochryplą sylabę. Odchrząknąłem. — Chyba tak.

Pokiwała głową i przełknęła ślinę. Żadnych „O Boże”, „Czyś ty oszalał?!” ani „To straszne, to naprawdę straszne,

Tadek”. Nie, nic takiego, tylko ujęła mnie za dłoń i powiedziała, że wszystko rozumie, i że są ze mną, ona i Karol.

Boże, jeśli jest jeszcze jakikolwiek powód, dla którego powinienem istnieć, to chyba tylko przyjaciele.

— Dziękuję, Mirka. — Uśmiechnąłem się blado, ona nie zdobyła się nawet na to. Była ubrana na czarno, pewnie przywieźli mnie prosto z pogrzebu.

Ścisnęła moją dłoń jeszcze mocniej, po czym wstała i znów zaczęła krzątać się po kuchni. Leżałem na kanapie w dużym pokoju i czułem, że za chwilę zacznę wrzeszczeć z bólu. Pan Kręgosłup rozgrzewał się i palił ciało od środka, topił kości, parzył mięśnie.

Naprawdę, jeszcze chwila i nie wytrzymam.

— Mirka?

— Tak?

— Strasznie mnie boli. Kręgosłup. Nie mogę wytrzymać.

— Tadek, ty miałeś na sobie dwadzieścia osiem plastrów morfinowych, kiedy znalazła cię sąsiadka. A te spalone ślady na kuchence... Byłeś w okropnym stanie, więc pewnie jeszcze jakiś czas będziesz do siebie dochodził.

Wniosła do pokoju głęboki parujący talerz. Rosół.

Przypomniałem sobie nagle, że mam coś takiego jak żołądek. Kiedy tylko o tym pomyślałem, z głodu aż zachciało mi się wymiotować.

— To pewnie dlatego cię wszystko boli. Jesteś bardzo zmarłowany. Ale spokojnie, to przejdzie. To wszystko przejdzie.

Włożyłem pierwszą łyżkę zupy do ust. Nie miała smaku. Zupełnie jakbym jadł podgrzaną wodę z kluskami.

ciemne wnioski Pana Kręgosłupa

Nie mogłem zasnąć. Czułem, że świat się skończył i ktoś chce mi zrobić jakiś straszny, okrutny żart. Żart, który miałby polegać na tym, że będę dalej żył. Sam. Bez Paulinki. Bez Przemusia. Boże święty...

Z Panem Kręgosłupem, który każdego dnia będzie bolał coraz bardziej.

Nie, bardziej już się nie da.

Pociłem się i płakałem, gryzłem poduszkę, a on nie dawał spokoju. To wszystko atakowało falami – najpiękniejsze sceny z Paulinką i Przemusiem, potem ból, wkręcający się w każdy nerw w ciele, i znowu. I tak w kółko.

Pierwszy plaster przykleiłem o trzeciej dwanaście. Kolejny pół minuty później. Pastylki jadłem jak cukierki, nie mogłem już wytrzymać. Nie da się ogarnąć rozpacz, nie da się.

Przetrzęsnałem cały pokój Przemusia, przeryłem wszystkie szafki i szuflady, wywlekłem na lewą stronę najmniejszą kieszeń w każdym ciuchu. Wreszcie znalazłem – foliowy woreczek schowany był w maleńkiej kieszonce na nogawce tych jasnych spodni, które kupił sobie w centrum handlowym jako prezent pod choinkę. Zawsze tak robiliśmy, to był pomysł Paulinki: „Nie będzie się trzeba nigdy martwić, że ktoś dostanie pod choinkę prezent, z którego nie będzie zadowolony”.

Zawinałem to w kawałek kartki z drukarki i okleiłem taśmą klejącą. Było tego mniej niż poprzednio, tym razem nie mogłem marnować tyle na kuchence.

Zaciągałem się bardzo głęboko. Mięśnie rozluźniały się z każdą sekundą. Przykleiłem kolejny plaster na brzuchu i popijając winem, połknąłem pastylkę, a po paru chwilach poczułem swędzenie wysoko na szyi.

Rozplaszcz podszedł do mnie, wynurzając się z łazienki i kładąc rękaw na mojej głowie. Czułem krople wody spływające po skórze za uszami.

— Tu się kończy nasze zadanie — rzekł poważnie. — Powodzenia, Tadeuszu.

I odszedł, zostawiając mnie z moim swędzeniem.

Drapało mnie w szyję jeszcze przez długi czas, aż wreszcie ustało, ale coś nie dawało mi spokoju – sięgnąłem ręką

i wymacałem szczelinę w skórze. Sunałem palcem wzdłuż wilgotnej rysy, a ona zdawała się wydłużać. Przestraszony, sięgnąłem niżej, na plecy. Gładka skóra (skórra, skórrrrrra) pękła nagle z góry na dół, zupełnie bezboleśnie. Przeszło mi przez myśl, że może nie jestem już człowiekiem, lecz na przykład – na wzór charyzmatycznego Rozpłaszca – jakąś kurtką, zapinaną na zamek błyskawiczny.

Tak czy inaczej, ktoś mnie właśnie rozpinał. Od środka.

Kolejny wdech, ach tak, no właśnie.

Kto mnie rozpina?

* * *

Wyszedł ze mnie, wreszcie się ze mnie wydostał, a ja czuję się tak, jakbym został zrobiony z ciepłej, lepkiej gumy. To jest cudowne.

Siedzimy z Panem Kręgosłupem w przedpokoju. Opieram się o drzwi.

— Więc widzisz — mówi. — To wszystko tak właśnie wygląda.

— Więc ona była najważniejsza. Ona i Przemusł.

— Twój Raj.

— Czyli ja już go przeżyłem?

— Tak. Jedna drożdżówka cię cieszy, chwila jazdy ferrari zapiera dech, pierwszy seks odbiera rozum. Potem to powszednie. Jak wyobrażasz sobie wieczny Raj? Przecież to musi być piękne, a nie da się utrzymać piękna przez całą wieczność.

— A co dalej?

— Zobaczysz.

Nie mam odwagi, żeby powiedzieć coś więcej.

— „Na inne nie licz niebo, ani na inne piekło” — szepcze Pan Kręgosłup.

Spoglądam na niego i spuszczam wzrok.

Siedzimy dalej w milczeniu, a po kilku godzinach Pan Kręgosłup mówi mi o Aniołach.

Anioły

Mają przyjść dwa. Dwa Anioły z nieba. Pan Kręgosłup nie chciał mi o nich powiedzieć nic więcej, ale zdradził jedną rzecz: zostało mi jeszcze kilka minut Raju. Pan Bóg odkroił dla mnie kawałek z tortu, który jadłem przez ostatnie lata. Ten tort to było życie z Paulinką, tak się cieszę, że jeszcze trochę mi zostało.

Dopalam do końca tę kartkę, na udo przyklejam ostatni plaster. Mój Raj to kilka minut z Paulinką, nie wiem dokładnie ile. Tego Pan Kręgosłup też nie chciał powiedzieć. Wszedł we mnie z powrotem, pod skórę, a ja tu czekam, oparty o drzwi. Za godzinę powinni tu być.

Jestem cały w plastrach, bolą mnie szczęki. Czekam. Jeszcze tylko godzina. Paulinka...

Oczy zachodzą mi łzami.

Paulinka

Zjawiają się w środku nocy i najpierw mocno pukają. Otwieram im, do mieszkania wlewa się blask. Mają ludzkie, męskie twarze i są cali biali. Jeden z nich podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu. Znowu ten gest.

— Już dobrze — mówi. — Już dobrze, panie Tadku.

Patrę ponad jego ramieniem (to ramię pachnie jak jedna z naszych szafek) i w oddali widzę Paulinkę. Idzie do mnie. Słodki Jezu, moja Paulinka do mnie idzie.

Jestem spokojny. Coś gryzie mnie w bark. Otwieram oczy, a ona jest już chyba troszkę bliżej. Osuwam się na kolana, białe ręce Aniołów chwytają mnie pod pachy.

Świat przechyła się o dziewięćdziesiąt stopni, Paulinka idzie teraz bokiem, jakby umiała chodzić po ścianie. Uśmiecham się i wydaje mi się, że ona też się uśmiecha. Jest piękna, zawsze przecież była. Niemal czuję zapach jej skóry, wi-

dzę chyba każdy pojedynczy włos. Anioły schylają się nade mną, a ja nie odrywam wzroku od Paulinki, która biegnie do mnie z rozrzuconymi na boki ramionami. Już nigdy nie ode-
rwę od niej wzroku, nie przestanę patrzeć na Ciebie, Paulinko.

Idzie.

Za godzinę powinna tu być.

Wykorzystano fragmenty *Chwili* J.L. Borgesa.

Nowa antologia osobista, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006